

# Groteskowy ~ A gotyk Epicki

przez GE Graven



## Rozdział V



Opactwo Gardiens ~ sierpień 1347

~Pochodnie tunelu dawno zgasły, z wyjątkiem jednej, która teraz się pochylała z uchwytu ściennego, oświetlając wejście do osobliwych katakumb Lazarusa . W dobrym świetle Iwan przycisnął swoją wielką sylwetkę do framugi drzwi, a jego wzrok pochłaniał list. W pokoju Łazarz siedział na skraju łóżka, popijając z drewnianej miski.

Łazarz zapytał między kęsami: „Co czytasz, bracie?”

„Post, który wyślę jutro do brata Salvitina” – odpowiedział Iwan, wpatrując się w list.

"Kim on jest?"

„Mnich z Rady Niższej – kiedyś mieszkał tu, w Opactwie. Przed tobą – zanim się urodziłeś”.

„Gdzie on teraz jest?”

„We Włoszech – Canello – drugi klasztor soborowy”.

„Dlaczego do niego piszesz?”

„Jest mi wdzięczny. I może nam pomóc w drobnej sprawie – kiedy już wyjedziemy do Włoch”.

„Włochy? A co z Burgandią?”

„Włochy, najpierw.”

„Brat Odyn nadal idzie z nami, prawda?”

Mnich potwierdził skinieniem głowy. „Zgodził się”.

„Co ci jest winien brat Salvitino?”

Iwan na chwilę oderwał wzrok od książki. „Dość, Łazarzu – jedz.”

Lazarus wziął kolejny kęs i krótko przeżuł, po czym zwrócił się do Iwana. „Podczas twojej nieobecności widziałem mężczyznę sprowadzonego tutaj i zamkniętego w jednej z cel. Co on zrobił, mnichu?”

„Więzień stanie przed sądem za herezję. Zostanie zabrany rano”.

„Co on zrobił?”

„Nie przeszkadza ci, Łazarzu. Jedz. Jest późno.”

Lazarus zerknął ukradkiem na Iwana, który stał pochłonięty listem. Wyjął z miski kawałek mięsa i chleba, wrzucił pod łóżko i wrócił do jedzenia.

„Może jest głodny” – zasugerował Łazarz.

Iwan odchrząknął, złożył list i wsunął go pod szatę. „Dojedz, synu. Nie życzę sobie, żebyś się do niego zbliżał. Zbierzesz mnie?”

„Tak, bracie”. Iwan zajrzał do miski i obserwował każdy kęs, aż Lazarus wsunął ostatni kawałek chleba pod ustnik maski. Z zadowolonym uśmiechem Iwan wziął pustą miskę. Lazarus wślizgnął się pod kołdrę.

Iwan go otulił. „Twoje modlitwy?”

„Tak, bracie. I modliłem się za więźnia.”

„Wspaniale. W takim razie do zobaczenia rano. Śpij dobrze.”

„Dobry wieczór, bracie.”

Iwan opuścił pomieszczenie spokojnym krokiem, zdjął pochodnię ze ściany i skierował się ku wyjściu z katakumb.

Zerkając znad sterty koców, Lazarus obserwował, jak rysy jego drzwi ciemnieją, gdy światło pochodni Iwana przesuwa się w górę korytarza. Następnie nasłuchiwał odgłosu sandałów uderzających o kamień, gdy Iwan wchodził po schodach katakumb. W końcu Lazarus zerwał się na równe nogi, słysząc brzęk odległych drzwi. Teraz, kierowany bardziej ciekawością niż rodzicielską instrukcją, wyciągnął jedzenie spod łóżka, owinął je w szmatę i na palcach ruszył korytarzem. Dotarłszy do skrzyżowania tuneli, tunelu Benion po lewej stronie i krótkiego korytarza po prawej, skręcił w prawo, by wejść do krótkiego korytarza z celami. Sześć drzwi cel biegło wzdłuż ścian – trzy naprzeciw trzech. Zamiast krypt dla zmarłych, w tych komnatach znajdowały się cele wyposażone w zamknięte drzwi, służące do więzienia żywych. Wąskie okna w drzwiach były wyposażone w przesuwane żelazne płyty.

Łazarz podszedł do ostatniej celi po prawej. Odsunął szybę okienną; odgłos mamrotanych modlitw ucichł.

„Dzień dobry, panie. Przynoszę jedzenie. Jestem Lazarus. Porozmawiam z panem, jeśli pan sobie tego życzy.”

Słoma w celi zaszeleściła i rozległ się głos: „Witaj Łazarzu. Niech będzie wywyższone imię Pana Chrystusa, którym jest Jezus”.

Łazarz podał jedzenie przez okno, odpowiadając: „Błogosławiony. Weź jedzenie, panie”.

Gdy więzień go odzyskał, Łazarz ukradkiem zerknął na jego twarz. Był to młody mężczyzna o jasnych włosach, brązowych oczach i rzadkiej brodzie, która odsłaniała szczupłe rysy twarzy. „Jestem niezmiernie wdzięczny” – odpowiedział więzień. Przykucnął przy drzwiach, tak jak zrobił to Łazarz, pozostawiając między nimi zaledwie pięć centymetrów dębowych desek.

Łazarus szarpał za drzwi. „Dlaczego tu jesteś?”

Więzień odpowiedział z pełnymi ustami: „Oskarżony o herezję. Mam stanąć przed inkwizycją”.

„Co zrobiłeś?”

„Żyję tak, jak żył Jezus”.

„W takim razie dlaczego jest to herezja?”

Więzień przełknął jedzenie i wyjaśnił: „Do naszej wioski przybył biskup z licznymi żołnierzami i zwołał wszystkich. Zapisał nasze imiona i zawody w swoich Księgi rachunkowe – aby określić miarę naszych dziesięcin dla kościoła. Jak wielu we wsi Byliśmy braćmi pokutnymi, Trzecim Zakonem Świętego Franciszka, odmówiliśmy. To było złe.

„Płacenie dziesięciny jest złe?” zapytał Łazarz.

„Jezus żył w doskonałym apostołskim ubóstwie. Wszyscy ludzie Boży są zobowiązani do życia jak Chrystus. Napisano: Łatwiej wielbładowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa Bożego. Człowiek jest biedny, gdy nie ma pieniędzy ani zawodu, ale nadal może być bogaty w Chrystusie i składać Mu dziesięcinę”.

„Jak to?”

„Zostaw dziesięcinę z pól nietkniętą. Zostaw dziesięcinę ze zwierząt na wolności. Zostaw dziesięcinę z owoców nie zerwanych; daj dziesięcinę ze swojego posiłku głodnemu człowiekowi. Dziesięcina to ofiara, złożona z wyjątkiem Boga. Świątynie nie są miejscem pobierania dziesięciny z czegokolwiek – są miejscami wyłącznie kultu.

„A jednak Kościół pomaga biednym, prawda?”

„Jeśli Kościół zbiera dziesięcinę przeznaczoną dla Boga i wykorzystuje ją, niezależnie od intencji, ofiara nie jest składana Bogu, lecz Kościołowi. Tak mówią Łukasz i Mateusz”.

„Znam te słowa, panie. Czy pokazałeś je biskupowi i żołnierzom?”

„Oni ich znają.”

„Dlaczego nie powiedziałaś im, że będziesz pracować? A gdyby odeszli, wszyscy byście uciekli?”

„Czy Jezus uciekł?”

Łazarz podrapał się po głowie i przeszukał kamienne płyty, zanim zwrócił uwagę na Drzwi. „W takim razie może powiesz im, że podejmiesz się tego samego zawodu co Jezus. Powiedz im, że twoim zawodem jest nauczanie biednych mas o Bogu. Zaoferuj im dziesięcinę ze swoich nauk, dobrze?”

Więzień zachichotał. Łazarz przechylił głowę na bok jak zdziwiony pies. „To nie takie proste, Łazarzu. Muszę złożyć przysięgę przed Bogiem. Inkwizycja przygotowała już pytania, które mnie potępią. Nie mogę składać przysięgi i kłamać. Już zostałem skazany – zostanę spalony”.

„Spalony? Kościół pali ludzi?”

„Setki; od tego czasu spalone.”

„Kościół? A przecież Kościół jest z Boga. Dlaczego musi palić ludzi?”

„Wiele przyczyn. Głównie z powodu niepłacenia dziesięciny lub wierności innej wierze”.

W końcu Łazarz odparł: „W takim razie kłamstwem są słowa św. Mateusza: Każdy grzech i złe mówienie będą ludziom odpuszczone, lecz złe mówienie o Duchu nie będzie im odpuszczone”.

„Nie kłam. Czy nie pamiętasz tych słów, Łazarzu?”

Łazarz zaczął: „Znam ich, panie. A jednak, gdyby cię spalili...”

„Nie złożę przysięgi, tak jak Jezus nie złożył. Nie ucieknę przed tymi, którzy niesprawiedliwie mnie potępiają. Nie będę im kłamał, żeby siebie uratować”.

„Panie, jeśli cię spalą...”

„Jezus nie kłamał ani nie kusił. Łazarzu, nie wywołuj u mnie pokusy przed Panem”.

„Panie, czy mogę o coś zapytać?”

„Tak, Łazarzu.”

„Dlaczego nie poprosiłeś mnie o otwarcie tych drzwi, skoro wiesz, że cię spalą?”

„Jestem już wolny. Te drzwi, otwarte czy zamknięte, nie mogą uczynić wolności. Wolność jest w.”

„Czy mógłbyś mi pozwolić otworzyć te drzwi, żebyś mógł uciec?”

„Rzeczywiście, że nie. Znowu mnie kusisz, Łazarzu?”

„Nie rozumiem, panie. Tylko nie rozumiem, dlaczego nie chcesz się ratować.”

„Wiara, Łazarzu. Już jestem zbawiony, tylko przez wiarę”.

„A mają cię spalić, jak mówisz?”

„Tak zrobią.”

„Jeśli to prawda, panie, to dlaczego nie czytałem o takich rzeczach?”

„Być może nie jesteś w stanie o nich czytać. A jednak jesteś wykształcony. Jesteś duchownym?”

„Ja jestem.”

„Ach! No i masz. Jak ludzie uzdrzą rumaki i zagonią bydło, tak ty jesteś rumakiem i krową. Synowie stają się swoimi ojcami, a duchowni – zakonnikami, z którymi służą. Jedno pokolenie rodzi następną”.

Łazarz spuścił głowę, rozważając mądrość słów, po czym ponownie zwrócił się do drzwi. „Jak masz na imię, Panie? Żebym wiedział, za kogo się modłę?”

„Jestem ubogim człowiekiem w Chrystusie. Módlcie się za mnie jako ubogiego”. Straw przesunął się. „Dziękuję za waszą hojność i towarzystwo. Teraz muszę zająć się własnymi modlitwami. Błogosławione imię Pana Jezusa Chrystusa i błogosławiony testament świętego Piotra Jana z Oliwy. Błogosławione ich imiona” – zaintonował więzień, odsuwając się od drzwi. „Dobranoc, Łazarzu”.

Łazarz zawołał za nim: „Biedny człowiek w Chrystusie?”

Cisza.

„Ubogi w Chrystusie?” – zawołał ponownie Łazarz. Jednak więzień nie dał z siebie nic więcej.

Tak więc Łazarz opuścił celę i odszedł. Jednak w drodze do swojego pokoju, ledwie zdążył opuścić korytarz, z tunelu przylegającego do głównej grobli i położonego dokładnie naprzeciwko przejścia, którym się udał, dobiegł trzask. Dźwięk, niczym trzask łamanego drewna, rozbrzmiał z głębi tunelu Benion – najstarszego z... Liczne podziemne arterie. Odkąd Łazarz pamiętał – niczym prawo wyryte w kamieniu – istniała stała zasada: mógł wędrować wszystkimi tunelami katakumb z wyjątkiem Benionu. Iwan zabronił mu wchodzić pod niebezpieczne kamienie stropu, które wisiały na tyle luźno, że przeciekały nawet po umiarkowanym deszczu. Poza tym, ponieważ Benion był jedynie martwym przejściem bocznym, w którym znajdowały się jedynie zamknięte drzwi krypty z... Zgrzytliwe loki pokryte wiekami rdzy nie miały powodu, by się w nie zapuszczać. Iwan jednak nie docenił rodzącej się w Łazarzu niezależności, jak to mają w zwyczaju oddani rodzice – ufni i przymykający oko.

Łazarz stanął przed wejściem do Benionu i wsłuchiwał się w kapanie wody, które rozbrzmiewało echem w jego pustych trzewiach. Ponownie usłyszał ten hałas, przypominający odgłos pękających desek, które naprężyły się pod ciężarem ciężkiego...

Ciężar. Ciekawość go ugryzła – owoc pokusy go pochłonięła – niezależność nim pokierowała. Tak więc odetchnął głęboko, rozejrzał się i skradał się tunelem Benion. Przemknął obok licznych drzwi krypt, rzucając im jedynie przelotne spojrzenie. W końcu dotarł do końca korytarza, by odkryć przyczynę zamieszania – ostatnie drzwi krypty wygięły się na zewnątrz, poszarpane poszarpanym szeregiem drzazg, które przecinały je wzdłuż. deski pionowe.

Już teraz drewniane drzwi oddzielała od kamiennej ramy szczelina, a żelazny zamek był złamany. Szeroko otwartymi oczami, zerknął ukradkiem między drzwi a ramę i odkrył rząd prostokątnych wgłębień – zajętych grobowców, cztery wysokie – wykutych w prawej ścianie dużego domu. Krypta. W środku, pobliski stół zasłaniał im dalszy widok. Zardzewiały żelazny krucyfiks wisiał na tylnej ścianie, ale widoczna była tylko jego połowa – jeszcze mniej z mrocznego pomieszczenia.

Powąchał otwór i wyczuł wielowiekowe, przenikające się zapachy sączące się z grobowca : odór zbutwiałego materiału; woń wapiennych kości; stęchły fetor starego grzyba i słodycz wilgotnego kamienia. Całkowicie pochłonięty ciekawością, Lazarus wsunął palce w szczelinę i pociągnął. Drzwi zaskrzypiały o podłogę, gdy je rozwarł . Nowe drewno drzazgnęło – drzazgowało – aż do...

„Bang!” Drzwi natychmiast eksplodowały, rozrzucając odłamki desek po przeciwległej ścianie. Łuki nad drzwiami zawaliły się, gdy zwornik poddał się wszelkiemu wsparciu. Jeszcze wyżej, spory fragment muru i przylegającego do niego dachu zawalił się pod lawiną, która przetoczyła się wokół niego. W samym środku ryczącego chaosu, rzucił się w odległy róg ściany terminala, gdy część jej murów runęła na podłogę.

Cisza powróciła, słychać było jedynie bulgotanie strumieni wody uderzających o kamienne płyty. A gdy kurz i gruz opadły, Lazarus podniósł się na nogi, brudny, lecz cały. Nastawił psie uszy spod kaptura i szukał dźwięków. Spadająca woda brzmiała jak pulsujący ryk – osuwające się kamyki jak głazy uderzające w głęboki wąwóz – cichy tupot szczurzych kopyt przypominał dudniący stukot. Uwaga Lazarusa pozostała jednak skupiona na wejściu do tunelu Benion. Nie słyszał skrzypnięcia drzwi katakumb – stukotu mnisich sandałów o kamienne schody – jedynie odgłos odległego więźnia, który przechadzał się po słomie między celami.

Łazarz zbadał otaczający go wrak. Końcowa ściana tunelu stała prawie nietknięta, z wyjątkiem małego wgłębienia, gdzie kamienie roztrzaskały się obok niego – uszkodzona część muru oferowała teraz coś, co zdawało się być bezdenną dziurą. Z otworu wydobywał się już stęchły, stęchły wiatr sprzed trzech stuleci. Wtedy zdał sobie sprawę, że

to, co wydawało się być rzekomym końcem zamkniętego tunelu Benion, okazało się w rzeczywistości rozpadającą się fałszywą ścianą — widocznie przejście ciągnęło się dalej.

Lazarus wyrzał przez otwór, jego kaptur powiewał na wietrze.

Pod każdym względem, z wyjątkiem jednego, tunel, który wciąż ciągnął się, odzwierciedlał nieuszczelnioną część. Mogło się wydawać, że przejście zostało opuszczone, zanim jeszcze zostało w pełni ukończone, ponieważ, chociaż wzdłuż ścian tunelu ciągnęły się krypty, żadna z wnek nie została zamknięta drzwiami. Przepchnął się między poluzowanymi kamieniami i wszedł do środka. Wydawało mu się, że krypty nigdy nie kryły szczątków. Ani pierwsza, ani druga – a zwłoki zawsze plamiły leżące pod nimi kamienie rdzawą patyną, której nawet stulecia nie są w stanie usunąć. Ruszył dalej tunelem, mijając liczne niezamieszkałe i niedokończone krypty.

Choć powietrze w kryptach było czyste, gdy zapuszczał się dalej korytarzem, wyczuwał w nim zapach śmierci, który nasilał się wraz z zanieczyszczeniem starożytnych szczątków. Lazarus zapuścił się głębiej. Na końcu tunelu odkrył, że wejście do ostatniej krypty różniło się od pozostałych, gdyż kryło krótkie i postrzępione drzwi, ale zamurowane resztkami kruszącego się kamiennego muru – jakby nowy, nowszy mur z kamieni został wzniesiony po to, by ukryć wszelkie ślady odsłoniętych drzwi. Spod popękanych desek drzwi sączył się zapach rozkładu. Odsunął luźne kamienie, przedarł się przez zasłony pajęczyn, odepchnął poszarpane i zniszczone przez robaki drzazgi i wślizgnął się do środka. Nie zabłysnął ani promyk światła, a jednak w tej dziewiczej i śmiertelnie cichej ciemności za rozrzuconymi resztkami krótkich, postrzępionych drzwi, głodne źrenice Lazarusa rozszerzyły się nienaturalnie. Niczym oczy idealnego nocnego drapieznika, oderwały łuski ciemności i zobaczyły wszystko.

Krypta wyglądała, jakby kiedyś służyła jako mieszkanie, lecz jej zapach wyraźnie przypominał grobowiec. Wokół leżały potłuczone naczynia, zbutwiałe tkaniny i zakurzone artefakty. Lazarus przeszukał wnęki w ścianach, nie znajdując żadnych szczątków w pelerynie mnicha. Otwarte grobowce służyły raczej jako półki magazynowe, na których znajdowały się szczątki dziwnego złomu. W powietrzu unosił się jeszcze inny zapach – lekka, ostra woń atramentu. Lazarus przeszedł przez pokój i stanął nad wąskim stołem i ławą, niegdyś służącym jako biurko. Jego blat był pokryty zadrapaniami, woskiem i plamami atramentu. Na nim stał pusty, zaschnięty kałamarz. Coś dziwnego w tym stole przykuło jego uwagę, gdy dokładniej przyjrzał się jego powierzchni. Przyjrzał mu się uważnie, przechylając głowę w skupieniu. Ani kałamarz, ani plamy nie zdradzały jego wyjątkowości; jednakże to, co przykuło jego uwagę, było niejasne, lecz pewne w swoim istnieniu. Zniżył nos zaledwie kilka centymetrów od stołu i powąchał. Nadal nic nie wypłynęło.

Potem cofnął się, skupiając się na biurku – i oto leżało. Lazarus startł warstwę kurzu. Ciekawość, która dręczyła jego zmysły, robiła to tylko oczami. Usunięto kurz i resztki, pozostałe rysy na biurku nabrały kształtu i nie znalazł niczego. przypadkowe ryciny, lecz uporządkowane symbole. Nie były to obrazy hieroglificzne – prezentowały się wyraźniej jako ciągłe rzędy figur geometrycznych. Ich położenie i odstępy wpływały na wymowę – i znaczenie – słowa Łazarza. oko. W rozpoznawalnym wzorze okręgi i linie tworzyły litery – słowa – zdania – ostatecznie łącząc się w jasne i zrozumiałe strumienie znaczeń. Jednakże inskrypcje nie były ani francuskie, ani łacińskie, lecz napisane w dziwnym języku, nieznanym od tamtej pory świata pióra i pergaminu. Prawdę mówiąc, żaden człowiek nie mógłby napisać tej wiadomości na biurku, ponieważ jej język nigdy nie narodził się na ziemi. Z pewnym trudem Lazarus wymówił słowa i dostrzegł ich znaczenie:

Dziś daję mojemu bratu prezent.

W tej krypcie znajdują się moje pełne słowa.

W rogu krypty,

ma cztery kamienie wysokości—

czwarty kamień jest luźny.

Lazarus spojrział w róg krypty – dokładnie o cztery kamienie ścienne wyższe niż płyty posadzki – wąska szczelina po brakującej zaprawie otaczała krawędź zniszczonego kamienia. Zsunął kamień ze ściany i z pozostałego wgłębienia po starożytnych pajęczynach wydobył gruby rulon pożółkłych kartek. Rozwinął je na biurku.

Na najwyższej stronie znajdował się list, w którym było napisane:

Dla Ciebie, Bracie Mój—

Dwudziestego ósmego września, Roku Pańskiego tysiąc sześćdziesiątego czwartego, niniejszym piszę ostatnią z wielu kartek. Niech serce moje będzie ciężkie, bo wkrótce... Poznaj stan Śmierci. Jej zapach mnie pochłania. W moim zatraceniu, jestem zmuszony zadziwić się tą częścią Boga, która pozwala, by takie smutki i niegodziwość panowały pod Nim. Nie mogę tego pojąć – w całym moim spojrzeniu, nigdy nie zrozumiem. Moja wiara odleciał. Płomień zgasł w mojej piersi, a ja jestem niczym więcej niż Śmiercią czekającą na samą siebie.

Powinienem cię ostrzec przed Radą. Na wiarę Rady, zaproponowano mi pakt. Dotychczas,

Pakt był taki – że dzięki mojemu tłumaczeniu rozszyfruję dla nich język Kamienia Bramnego. W zamian oni dadzą mi wolność – taką wolność, że na zawsze ucieknę z Opactwa Ogrodników. Nie miałem innego wyjścia, jak się zgodzić.

Minęły dwa pełne sezony, podczas których tłumaczyłem fragmenty, które przynoszono mi pojedynczo do moich kwater. W tym krótkim okresie, jak na wszystkie moje lata, żyłem w pełni zadowolony z życia jako człowiek Boży. Moje odosobnienie nie ciążyło mi już jak brzemień, bo Rada przyozdobiła moje kwatery, jakbym miał zostać królem. Wszystko mi dano, wyjąwszy poluzowanie moich łańcuchów lub zwolnienie papieskiej straży i jej duszących oparów pochodni, które na zawsze pozostały u moich drzwi.

Nie brakowało mi niczego poza wolnością i odebrałem sen jako równie realny, jak zimne kajdany krępujące moje ramiona. Niemniej jednak, mniej więcej w połowie drugiego sezonu, popadłem w nieutulony smutek. Nawet po to, by odpędzić ten sen. Z języka Kamienia Bramy poznałem jego cel. Dręczyło mnie to tak bardzo, że przestałem się modlić. Moja wiara, Obawiam się, że jest stracony na zawsze. Nie pragnę niczego bardziej niż śmierci. Z woli Boga nigdy nie posłużę się Jego metodami, lecz zawsze będę znał swoje miejsce w Nim.

Od tego czasu zaprzestałem transdywincji, co rozwścieczyło Radę. W odpowiedzi Rada usunęła z mojego mieszkania wszelkie wyposażenie i ponownie umieściła mnie w okropnych warunkach, w jakich przebywałem, zanim rozpocząłem dla nich pracę. Zacząłem chorować. Po długiej przerwie zgodziłem się dokończyć transdywincje, pod warunkiem jedynie powtórzenia obietnicy wolności.

Od tamtej pory ukończyłem pracę i minęły trzy sezony. Przez pewien czas kwestionowałem swoje uwięzienie. Opat Rady mówił tylko o tym, abym na dłużej ofiarował kapłanom moją radę. Nie widziałem ich na oczy od prawie sezonu. Od tamtej pory zrozumiałem, że nie jestem już dla Rady przydatny, o czym świadczy po części pogarszający się stan moich kwater. Z czasem domyśliłem się, że nigdy nie zamierzali mnie uwolnić z tej niewoli, nawet od samego początku. To moje ostatnie słowa, bo mój kałamarz wysycha do dziś. Ku mojemu największemu zaskoczeniu, Opat Rady przyszedł do mojej celi wczesnym rankiem. Poinformował mnie, że nigdy nie zostanę uwolniony – wbrew ostatecznej decyzji Rady, o ile dobrze pamiętam. Za dużo o miejscu pobytu kamienia i słowach. Zamiast tego Rada zaoferowała mi odpuszczenie grzechów, bezbolesny napój snu i obietnicę świętego pochówku.

Niestety, mam jeszcze dzień, żeby rozważyć tę propozycję, bo on wróci jutro . Po raz kolejny nie mam wyboru i zgadzam się na miksturę, żeby nie stanąć twarzą w twarz z grozą słońca. Zostawiam cię, bracie, który potrafisz odczytać te słowa, wszystkie oryginalne inskrypcje Kamienia Bramnego. Obyś miał lepiej niż ja. Obyś uczył się z mojego życia.

Zaprawdę, mogę jedynie swobodnie wędrować przez lata ze wspomnieniem słodkiego smutku. Przeżyłem życie, które nie było moje, w tej krypcie, która nie była moja, a jednak z chwilą marzenia, które było całkowicie moje – marzenia o wolności, która okazała się słodsza niż cokolwiek, co sama wolność mogłaby mi dać.

Ja jestem-

Duchowny Naramsin

—Tłumacz Rady

Lodowaty wiatr smagał kartki, niosąc ze sobą zapach rozkładających się kości. Zebrał je z biurka i przyjrzał się dokładniej krypcie. Na przeciwległej ścianie, w jej najgłębszej wnęce, leżała tkanina narzucona na coś całkowicie ukrytego. Podszedł bliżej. Gdy Łazarz chwycił materiał, ten rozdarł się w jego palcach niczym prześcieradło utkane z pajęczyn . Ostrożnie odkleił gnijącą tkaninę i ukazało się...

„Ach!” Nagle puścił tkaninę, jakby go ugryzła. Zaparło mu dech w piersiach i Upadł na podłogę. Przeszedł go dreszcz; serce zatrzepotało. Pałace ciernie przeszły jego ciało. Okrutnie przykute łańcuchami leżały przed nim szczątki dorosłego Groteski – kości Naramsina . Widział wiele zwłok, ale nigdy nie ujrzał innej Groteski. Grube kły tkwiły wbite w ludzką czaszkę. Pod zwłokami leżały kości skrzydeł. Łazarz wpatrywał się w siebie – w swoją większą wersję – rozkładającą się i owiniętą łańcuchami!

Łazarz osiągnął stan absolutnej grozy – ten wszechogarniający i krótkotrwały stan, zwarty między krzykiem a skamieniałą ciszą. Gdyby nie był zbyt żywy, jego serce przywołało Śmierć, by je uciszyła.

Zerwał się na równe nogi i wyskoczył z krypty ze zwojami Naramsina . Poleciał tunelem Benion, zanurkował przez dziurę w fałszywej ścianie i przeskoczył między rozrzuconymi kamieniami. W mgnieniu oka znalazł się z powrotem w nieskażonych i znajomych murach swojej kwatery.

kryjąc się pod kołdrą. W panującej ciszy serce waliło mu jak młotem. Pospiesznie wepchnął zwoje między fałdy maty, sprawdził sznurówki kaptura i zakopał się głęboko w łóżku. Czuł się brudny – zbezczeszczony w środku. Tęsknił za niewinnymi snami – za czymkolwiek, byle nie za okropnym obrazem własnych, spętanych łańcuchami szczątków. Nigdy nie czuł się tak samotny – tak zagrożony – a nawet tak śmiertelnie przerażony.

Łomot serca i męka umysłu wpędziły go w pokręcony koszmar – nie tyle w przerażenie, co w zanik nadmiernie naładowanego stanu psychicznego. W tym śnie zobaczył swoje nagie ciało pędzące w górę po krętych schodach, w stronę wyższych drzwi wejściowych do katakumb. Pędził ku wolności – pragnął uwolnić się z tuneli – od walących się ścian śmierci. Każde uderzenie serca było kolejnym krokiem w górę, jednak im szybciej się wspinał, tym wyżej oddalało się od niego wejście – majaczące w oddali. Schody ciągnęły się za schodami – i być może jeszcze więcej wystarczająco liczne, by wznieść się nawet do nieba. I przez całą tę pełzającą noc, jakkolwiek wieczna by się wydawała, straszliwy sen powtarzał się raz po raz – Tup- tup-tup-krosna! Tup-tup-tup-krosna!

~\*~

Karmazynowy blask pierwszego brzasku rozlał się po opactwie Gardiens. Mimo to, gdy mnisi i giermkowie zamknęli się w kwaterach, a poranne nabożeństwa zostały odłożone, mroczny teren opactwa był tak martwy jak krypta Naramsina . Mimo to, w większości dormitoriów klęczał ksiądz. U stóp jego drewnianego łóżka, modląc się o bezbolesną przemianę. W innych cienie niecierpliwości przesuwały się w kamiennych ramach wąskich okien, rzucając ciekawskie spojrzenia na dziedziniec. Atmosfera niepokoju – napięcie wisiało w powietrzu.

Zakonnik Iwan oparł się o okno celi i spojrzał na upiorne szaty, które przecinały Dziedziniec. Dostrzegł błysk wschodzącego słońca i wbił palce w ramę okna. Na dole rozpoczął się rytuał, gdy opat Vonig eskortował trzech krzepkich księży do łaźni.

Gdy już byli w środku, opat poinstruował swoich braci: „Zamknijcie drzwi i zajmijcie swoje miejsca przy Okno. Wy dwaj – przynieście to. I uważajcie na jego zęby! Opat podszedł do kamiennego stołu najbliższej wschodniej ściany. Wierzch podstawy był czarny jak węgiel, widocznie zwęglony wieloma poprzednimi pożarami. Dwóch mnichów zniknęło w mroku łaźni, podczas gdy trzeci okrążył opata i zajrzał przez pionową szczelinę między zamkniętymi listwami okna wychodzącego na świt.

Odgłosy szurania, jęków i syczenia świadczyły o tym, że w tylnej części łaźni toczyła się walka. „Uważaj!” krzyknął Vonig. Wyciągnął z kieszeni małą fiolkę i posypał nią stół. Mamrotał modlitwę.

Dwaj krzepcy mnisi wrócili z Groteską, wyprowadzając ją, gdy ta się z nimi zmagala. „Słońce chowa się za murem, opacie!” – zawołał ksiądz przy oknie. Vonig potwierdziła skinieniem głowy, wciąż mamrocząc. Mnisi zaciągnęli ją do stołu, gdy Vonig recytowane z jego rękopisu; „Pater noster, qui es in caelis, sanctificetur nomen tuum; adveniat regnum tuum; fiat voluntas tua in terra...”

Groteskowa oparła stopy o bok stołu, walcząc z porywaczami krzyżąc do nich: „Baut! Eca am sha tul!”

Opat sprzeciwił się, kontynuując: „...in terra sicut in caelo. Panem nostrum cotidianum da nobis hodie...”

Syczała na mnichów, trzymając się z dala od stołu, gdy się miotała. Kapłani założyli jej skórzane kajdanki na nadgarstki i kostki. Szarpnęli za liny, wytrącając ją z równowagi, po czym przeciągnęli ją na blat stołu, uderzając skrzydłami w twarz. Mnisi ustawili się po obu stronach stołu, każdy trzymając parę pasów, które przytwierdzały jej dłonie i stopy do kamiennej płyty. Walka dobiegła końca; Nie mogła się uwolnić. Siedząc na zgiętych kolanach, mogła tylko patrzeć na Opat. Vonig przewrócił oczami po zapisanych słowach. „—et dimitte nobis debita nostra, sicut et nos...”

Grotesque przerwała mu z cichą, dziewczęcą prośbą. „Shat na cawt—hmm? Cawt?”

Vonig odwrócił wzrok i na moment oderwał wzrok od trzymanego w dłoni tomu, by dostrzec łagodną, lecz straszliwie zbolalą twarz – dostrzegając nawet napływające łzy, które lśniły w parze oszałamiająco błękitnych oczu. I wyraźnie zauważył, jakby po raz pierwszy w życiu, że wydawała się uderzająco bardziej ludzka niż jakakolwiek Groteskowa, jaką kiedykolwiek widział – przez całe swoje życie. Zupełnie jasne było, że pomijając skrzydła i uszy, mogłaby być jedynie biedną i przerażoną dziewczyną, uwięzioną między pętami pary krzepkich i groźnie patrzących kapłanów.

Vonig oderwał zaniepokojony wzrok, kontynuując: „—et nos dimittimus—”. Vonig zakrzuszył się słowami. Odchrząknął: „—et nos dimittimus debitoribus nostris—”. Głos znów mu się załamał. Przerwał recytację, obrócił się i krzyknął do księdza przez łaźnię: „Odsłoń to przekłete okno! Zrób to natychmiast!”

Dwaj mnisi odchylili się na uwięziach. Syknęła na nich. Drugi ksiądz chwycił drewniane okiennice, ale się zawahał. Spojrzał z powrotem na Groteskę, krzywiąc się, gdy Vonig dostrzegł łzy napływające mu do oczu.

„Skończ z tym, bracie!” – zbeształ go Vonig. Ksiądz natychmiast otworzył okiennice.

a promienie słońca zalewały łaźnię.

„Wrzask!” Przenikliwy wrzask rozległ się po terenie opactwa. Z okna łaźni buchnął kłęb popiołu.

Drzwi łaźni otworzyły się gwałtownie i kaszlący Vonig pospiesznie wytoczył się z zadymionego wejścia, przecierając oczy i spiesząc do swojego gabinetu. Po chwili pozostali mnisi wyszli z budynku, niosąc ze sobą kamienną rzeźbę kolejnej Groteski – kolejnego opalonego słońcem Eljo z rozpostartymi skrzydłami – zastygła w klęczącej pozycji, z uniesioną ku górze twarzą, na której malował się granitowy wyraz absolutnej agonii.

Po drugiej stronie dziedzińca, w wąskiej ramie okna dormitorium na drugim piętrze, widniał zarys wysokiego księdza z wieńcem srebrnych włosów, płaczącego i z dłonią na ustach. Obok dachu dormitorium, kolejna para oczu spoglądała na mnichów i ich posąg: paciorkowate, czarne kule świetlistego kruka, siedzącego na szczycie śliwy na dziedzińcu. Z nabożnym szacunkiem obserwował, jak trzej mnisi niosą najnowszą Groteskę Gardiens – ostatni „dar” Gardiens, który miał zostać dostarczony do klasztoru Canello w środkowych Włoszech, aby umieścić go na szczycie gzymsu katedry.

~\*~

Iwan przeszedł przez wejście do katakumb. Zszedł po schodach, gdy natknął się na Łazarza, który trzymał zapaloną pochodnię i wiercił się.

Iwan zatrzymał się na schodach. „Łazarz?”

„Mnichu, muszę ci coś powiedzieć. To wydarzyło się wczoraj wieczorem.”

„Co się stało?” Iwan pospiesznie zszedł po pozostałych schodach. „Co się stało?” Okrążył Łazarza i kamienny róg, by odkryć, że pochodnie katakumb już się palą. „Dlaczego zapaliliście wszystkie pochodnie tak wcześnie... i przed moim przybyciem?”

„Stało się nieszczęście, zakonniku.”

„Więzień?”

„Dach się zawalił.”

„Co? Jesteś ranny?” Iwan chwycił go za ramię, obrócił i przyjrzał mu się z pilnością surowego i zbolętego strażnika.

„Nie, zakonniku.”

„Pokaż mi!” Iwan wziął pochodnię Łazarza i poszedł za nim do tunelu Benion, aż do jego końca. Iwan machał pochodnią wysoko, przechodząc przez kamienie i oceniając uszkodzenia. Wtedy zauważył wielką dziurę w ścianie i zamarł.

„Tunel ciągnie się dalej?” Odwrócił się do Łazarza, unosząc brwi z niedowierzaniem.

„Tak, bracie.”

Iwan trzymał pochodnię przy otworze, a jej płomień kołysał się na jęczącym wietrze.

„Zostań tutaj” – rzekł Iwan, wspinając się przez zagłębienie.

„Już...” Łazarz pohamował się.

Iwan spojrzał na niego. „Byłeś tu?”

„Tak, zakonniku, ale...”

„W takim razie omówimy twoje nieposłuszeństwo później.”

Łazarz opuścił głowę. Gdy tylko wszedł przez otwór, Iwan spojrzał na niego. „No, chodź”.

„No to ruszaj – skoro znasz drogę.”

Łazarz skoczył za nim.

Gdy Iwan oświetlał każdą z pustych krypt, Łazarz podążał tuż za nim. Chłopiec jednak cofnął się, gdy Iwan zbliżył się do ostatniej krypty.

„Mistrzu, tam są — tam są kości” – przyznał Łazarz, wskazując na otwarte drzwi, których wejście było zasłane kamieniami.

Iwan wszedł do środka, ale Łazarz pozostał na swoim miejscu. Nadstawił uszu pod kapturem. Usłyszał, jak Iwan odsuwa zgniętą tkaninę – usłyszał, jak Iwan nagle wstrzymał oddech – usłyszał ciszę, która zapadła, a kiedy Iwan wyszedł z krypty, Łazarz wpatrywał się w jego twarz w świetle pochodni. Iwan był blady i wyczerpany, ale nic nie powiedział. Wpatrywał się jedynie w podłogę między nim a Łazarzem, jakby pogrążony w myślach.

Łazarz przerwał ciszę. „Mnichu, on jest jak ja. Widziałeś? I nosi łańcuchy”.

Iwan pospiesznie minął Łazarza. „Musimy iść. Już!” Ani razu się nie obejrzał.

„Mistrzu, co on tam jest?” – zapytał Łazarz, szybko chowając się za nim.

„Spodziewałem się, że zostaniesz w łóżku. Nie mów nic o tym, co widziałeś. Koniec z pytaniami.”

Chłopiec wyczuł gniew w jego ostrym języku.

„Wybacz mi, zakonniku.” Łazarz przyspieszył, by dotrzymać kroku szybkiemu i pewnemu krokowi Iwana.

Po opuszczeniu nowo odkrytego odcinka tunelu, Iwan poprosił Łazarza o pomoc w uszczelnieniu otworu wcześniej opadłymi kamieniami. Łazarz przyniósł mu kielnię i uzupełnił wiadra świeżą zaprawą i wodą. W końcu, gdy Iwan upewnił się, że żaden mnich nie podejrzewa, że mur jest fałszywy, nakazał Łazarzowi powrót do swojej kwatery i tam pozostać.

Iwan doskonale zdawał sobie sprawę, że renowacja tunelu Benion wymaga podniesienia świeża ściana przeciwko nowo odkrytej fałszywej ścianie. Jeśli jego współkapłani odkryją

Pozostałości Groteski – w chaosie plotek i zamieszania, które nieuchronnie wywołałyby jej odkrycia – wówczas nadmierna uwaga mogłaby skupić się na Lazarusie. Nikt nie mógł się dowiedzieć, zrozumiał, rozmyślając nad planami renowacji, gdy wychodził z katakumb i zmierzał w stronę biura opata. W końcu wiek tunelu Benion nie był tajemnicą. Już dawno ostrzegł opata Voniga przed jego ostatecznym zawaleniem, a biorąc pod uwagę jego wiekową dojrzałość, moment ten był tylko kwestią czasu.

~\*~

Teren opactwa tętnił życiem mnichów i chłopców z ogolonymi koronami. W oddali zadźwięczał dzwonek przy bramie. W końcu giermek w szacie przebiegł przez dziedziniec. Niczym Łazarz – niczym duch z juty – chłopiec miał na twarzy maskę z wyciętymi w niej otworami na oczy. Głowę zakrywał mu kaptur. Przeleciał obok mnicha, który go zbeształ. „Migual! Działanie?” Chłopiec zwolnił do szybkiego kroku. Na drugim końcu opactwa zatrzymał się przed bratem Grate i skłonił się. Ksiądz go zauważył. „Migual, twoja maska jest rozdarta obok oka”. „Dziura. Poproś brata Iwana, żeby ją zaszył albo zrobił nową.” „Mnich Iwan już szyje nową maskę. Mnichu, co ty na to?” Bełkotliwe słowa chłopca wskazywały na poważne zniekształcenie ust ukryte pod rozdartą maską. „No to powiedz.”

„Żołnierze przy ... przy bramie! Z Awinionu! Powóz z nimi... a w nim ksiądz! Czerwona, ra-ra- szata” – wyjąkał giermek.

„Co on ma na głowie, chłopcze?” – zapytał Grate, nagle poruszony.

„Biała czapka ra-ra-na uszach. Kolejna na kolanach – jest duża. Ra-ra-czerwona czapka.”

„Co, na litość boską...” – pouczył chłopca Grate. „Słuchaj! Zawiadom opata, że z Awinionu przybywa kardynał! A teraz ruszaj!”

Chłopiec skłonił się i energicznie odszedł, gdy Grate go zbeształ. „Migual! Uciekaj!” Giermek rzucił się naprzód i rzucił się do ucieczki za róg.

Dzwonek brzęczał nadal, gdy Grate szedł do głównego wejścia. Zauważył wysokiego żołnierza z kręconymi, czarnymi włosami sięgającymi ramion, cienkim wąsem i kozią bródką, o jadeitowozielonych oczach, stojącego przed bramą. Głęboka blizna rysowała się na policzku surowej, zahartowanej w bojach twarzy. Grate odbezpieczył i szeroko otworzył bramę. Żołnierz splunął na ziemię, po czym okrążył go. Przechodząc, rzucił mu zimne spojrzenie i mruknął:

„Albo potrzebujesz większego dzwonka, albo większych uszu”.

Grate zmarszczył brwi, patrząc na ślinę kapitana Bourne'a. Potem zobaczył kardynała Blasiego wysiadającego z powozu. Blasi podszedł do Grate'a, nakładając kapelusz z szerokim rondem na diabelskie oczy. Grate uśmiechnął się, skłonił i pocałował bezwładną, wyciągniętą dłoń Blasiego.

Zakonnik uklonił się, mówiąc: „Wasza Eminencjo, Opactwo Gardiens jest prawdziwie zaszczycone”.

„A kim ty możesz być?”

Wstał Grate. „Bracie Maurycy Grate, Wasza Eminencja – opiekun gości i nadzorca wizytacji”.

„Dobrze więc, Bracie Grate. Odprowadź mnie do Opata”. Zakonnik odwrócił się, Blasi podążył za nim, a kapitan padł obok Blasiego, machając ręką na czterech swoich ludzi, by poszli za nim, podczas gdy on mówił: „Mam dwustu ludzi, czternaście rumaków i sześć wozów z zaopatrzeniem. Muszę się nimi zająć”.

Grate natychmiast skinął na młodego duchownego, żeby szedł obok niego. „Idź do stajni i powiedz bratu Festoneau, że mamy gości – czternaście rumaków, które pilnie potrzebują uwagi”. Chłopiec przechylił ogoloną głowę i zniknął.

Grate zwrócił się do Blasiego. „Może ty i twoi ludzie jesteście głodni? Jeśli chcesz, możemy natychmiast otworzyć refektarz i kuchnię?”

„Zrób tak” – warknął Blasi.

Grate kontynuował: „A czy pańskie przyjęcie ma trwać do wieczora, Wasza Eminencjo?”

„Kilka dni.”

Grate zatrzymał się w miejscu. „Dawno, Wasza Eminencjo? Nasze opactwo nie ma środków na utrzymanie tylu ludzi!”

Blasi ponaglił go. „Omówimy szczegóły w stosownym czasie, bracie. Najpierw opat”.

Po drugiej stronie dziedzińca mnisi i giermkowie gapili się na procesję – wszyscy goście byli cudzoziemcami. Blasi nie zwracał na nich uwagi, a mimo to Bourne przyglądał się każdemu. Jego oczy obserwowały Bez żadnej kurtuazji – padali wszędzie, mierząc, oceniając. Grupa weszła do budynku, a Bourne pstryknął palcami przy drzwiach. Dwóch żołnierzy wypadło zza niego i stanęło na baczność przed drzwiami. Grate poprowadził Blasiego korytarzem do gabinetu opata. Zapukał lekko do drzwi.

Z wnętrza dobiegł go piskliwy głos: „Wejź!” Bourne ponownie pstryknął palcami, a jego żołnierze odpowiedzieli; otoczyli go i stanęli na baczność za drzwiami. Grate, Blasi i Bourne weszli do gabinetu, by zastać opata Voniga odwróconego do nich plecami, zwróconego w stronę półki z książkami. Vonig powoli się odwrócił, całą uwagę skupiając na otwartej książce, którą trzymał w dłoniach. W końcu podniósł wzrok, nagle oszołomiony widokiem kardynała w swoim gabinecie. Skłonił się z szacunkiem. „Wasza Eminencjo”.

„Opacie” – odpowiedział Blasi w podobnym tonie.

Wtrącił się Grate. „Opacie Vonig, Jego Eminencji, Kardynale... hm...”

„Kardynał Masson” – Blasi pomógł Grate’owi w przygotowaniu wstępu, używając tego samego pseudonimu

„Massona” w wyniku nieuprawnionego dostępu do Apokryfów.

Grate kontynuował swoje wprowadzenie, wyciągając jednocześnie rękę w stronę Blasiego;

„Jego Eminencja, Kardynał Masson, przybył z Awinionu, aby zaszczyścić nasze opactwo”.

„To wszystko, Bracie Grate” – Vonig odprawił go i odłożył książkę na półkę.

Grate skłonił się i wyszedł. „Niestety, przynoszę złe wieści – od Jego Świątobliwości. Czy wiesz, że twoi kardynałowie Rady Wyższej, Bazylista i Lean, już odeszli?”

„Dowiedziałem się z niedawnej korespondencji” – przyznał Vonig. Bourne rozejrzył się po pokoju.

Blasi przybrał pogodny wyraz twarzy. „Czasami jednak w mroku rozpacz odkrywamy promyk nadziei. Opacie, w tym świetle przynoszę również dobre wieści”.

„Ach?” Vonig uśmiechnął się.

„Zostałeś powołany do służby w Radzie Wyższej Apokryfów. Twoja oddana służba w Radzie przyniosła ci znaczną przychylność w oczach Jego Świątobliwości. Oczekuje cię w Awinionie”.

Opat przestał się uśmiechać. „Wyższa Rada? Jestem tylko biskupem. Tylko kardynałowie pełnią funkcję członków wyższej rady”.

Blasi szukał słów, nagle się opanował i rzekł: „Niezależnie od tego, ty i opat Rady Niższej we Włoszech awansowaliście do Rady Wyższej”.

„Domingus?”

„Zgadza się; opat Domingus z Canello. Jego Świątobliwość wezwał was obu do Pałacu Papieskiego – bezzwłocznie”.

„A co z Opactwem? Kto będzie nadzorował...”

Blasi przerwał mu machnięciem ręki i uspokajającym tonem w głosie. „Jego Świątobliwość jest w pełni świadomy tego, co strzeże. To właśnie jest powód mojej obecności tutaj. To również powód silnej eskorty. Opactwo jest całkowicie bezpieczne. Jego Świątobliwość polecił mi pełnić funkcję tymczasowego opata tego opactwa, dopóki nie wyznaczy odpowiedniego zastępcy. Ponadto, inny eskortowany kardynał zmierza do włoskiego klasztoru Canello i będzie tam pełnił funkcję tymczasowego opata do czasu znalezienia odpowiedniej sukcesji”.

Blasi zacisnął dłonie na plecach i uśmiechnął się. „Opacie Vonig, pochwalam cię za nominację do Rady Wyższej i muszę dodać, że twoje lata oddanej służby Apokryfom są godne uwagi”.

Opat Vonig wyczuł, że coś jest nie tak. Przed śmiercią kardynała Leana, kardynał wysłał do niego list. Kardynał poinformował go, że papież Klemens wciąż nie jest świadomy ukrytego celu Soboru Apokryficznego – ani roli dwóch klasztorów – ani spodziewanych obowiązków papieża jako jego oficjalnego Przewodniczącego.

Vonig zapytał Blasiego: „Eminencjo Masson, skoro nie było żadnej Rady Wyższej,

nominacje od czasu śmierci Jego Eminencji, Kardynała Leana, w jaki sposób Jego Świątobliwość dowiedział się o sprawach dotyczących Apokryfów?”

„Jego Świątobliwość od tego czasu zapoznał się z zapisami w archiwach apokryfów ” – odparł Blasi.

„A jednak pożar zniszczył jego dokumentację. Jak Jego Świątobliwość mógłby przejrzeć dokumentację, która została wcześniej spalona?”

„Być może nie wszystko spłonęło; nie mam gotowej odpowiedzi. Możesz jednak zapytać Jego Świątobliwość o takie szczegóły – podczas wizyty u niego”.

Vonig zmrużył oczy. „Jeśli pozwolisz, Wasza Eminencjo, czy mogę zobaczyć rozkazy Jego Świątobliwości dotyczące nominacji?”

„Rzeczywiście, opacie.” Blasi wyciągnął list z za szat liturgicznych.

Opat zdjął woskową pieczęć listu i odczytał rozkazy podpisane przez papieża Klemensa.

Vonig złożył list i zbadał obie połówki pieczęci woskowej. „Dlaczego nie ma na niej odcisku insygniów Jego Świątobliwości ?”

Blasi bronił dokumentu, mówiąc: „Jak dobrze wiecie, Rada ma charakter tajny.

Jego Świątobliwość nalega, aby zarządzanie dwoma klasztorami apokryficznymi sprawowali wyłącznie kardynałowie.

Musisz zwrócić się do Niego z każdym problemem, który cię dręczy. On cię oczekuje, i to natychmiast.

Vonig spojrział na Bourne'a. Zielone oczy płonęły w nim. Vonig przyznał Blasiemu, a jego klatka piersiowa opadła: „Nie mogę pełnić funkcji radnego. Jestem stary i zmęczony; moje dni są policzone”.

„W takim razie musisz poinformować Jego Świątobliwość o swoim stanie, Opacie. Ja tylko doręcę jego wezwanie.”

„Nie mogę służyć—”

Blasi przerwał. „Château Mallow w Awinionie czeka na ciebie. Będzie to twoja nowa rezydencja. Masz czas do jutra, żeby odebrać swoje rzeczy. Kapitan dopilnuje, żeby twoje rzeczy osobiste były odpowiednio zabezpieczone. Możesz też umówić się na spotkanie z mnichami, żeby przekazać im dobre wieści i przedstawić mnie jako nowego opata”.

„Tak zrobię, Wasza Eminencjo.”

„Opacie, sądzę, że nie jesteś zadowolony z decyzji Jego Świątobliwości.”

Vonig wyraził wyraźne rozczarowanie. „W moich latach często myśli się o śmierci. Mam kryptę w katakumbach – taką , z której, obawiam się, nigdy nie skorzystam”.

Szczegóły twojej śmierci można ustalić, Opacie. Najpierw musisz zgłosić się do Jego Świątobliwości. Ja zostanę w kwaterze gościnnej, podczas gdy ty pozostaniesz opatem. Dopilnujesz tego. że strażnicy i rumaki są zadbani?”

„Zrobię to. Może mógłbym przydzielić ci eskortę do...”

Blasi przerwał mu. „Znajdę swoją drogę, Opacie”.

„Doprawdy, Wasza Eminencjo”. Vonig skłonił się, gdy Blasi wyprosił siebie i Bourne'a z gabinetu. Vonig odwrócił się do okna i wpatrywał się tępo, a podrobiony list drżał mu w słabnącej dłoni. Myślał o Iwanie i tym zdeformowanym chłopcu, Łazarzu; rozmyślał nad kryptą, którą kazał wykopać i przeznaczyć dla siebie; i najprawdopodobniej, jak wywnioskował, jego szczątki nigdy nie wrócą do ukochanego opactwa, któremu tak długo służył.

Vonig zamknął się w swoim biurze. Blasi zapoznał się z terenem i infrastrukturą. Kapitan Bourne przeczesał Opactwo żołnierzami, rozmieszczając strażników na kluczowych, jego zdaniem, stanowiskach. Do zmroku Kapitan przekształcił Opactwo w coś, co wyglądało na nieprzebytą fortecę – bez wejścia i bez wyjścia; z czujnym żołnierzem na każdym rogu.

Następnego ranka, zaraz po nabożeństwie, opat Vonig uspokoił zaniepokojonych mnichów, informując ich o swoim przeniesieniu do Awinionu. W południe wsiadł do powozu, a konni żołnierze odprowadzili go. Blasi poruszał się z rozmyślnym pośpiechem. Nowy opat zwołał zebranie wyłącznie starszych zakonników opactwa – tych, którzy wiedzieli o istnieniu Kamienia Bramnego i prawdziwym celu opactwa, jako jego strażnika. Powód zwołania zebrania był prosty: analiza członków Rady Niższej, podobnie jak to było standardową praktyką każdej inkwizycji kościelnej. Jako kardynał uniwersytecki, Blasi był doskonale obeznany ze sztuką polowania na czarownice. Wiedział, że metoda każdej inkwizycji jest sztywna i nieskomplikowana: zwołać zgromadzenie, wprowadzić władzę absolutną, zażądać przyznania się do popełnionych przestępstw, a następnie podzielić masy poprzez zeznania przeciwko sobie.

Na zwołanym przez siebie zgromadzeniu Braci Starszych Blasi polecił każdemu kapłanowi napisać list i dostarczyć go mu przed zapadnięciem zmroku. Oczekiwał w nim trzech rzeczy. Po pierwsze, kapłani mieli... Wymień wszystkie udogodnienia i praktyki opactwa, które można by ulepszyć. Chociaż Blasi był dość obojętny wobec proponowanych ulepszeń, lista ta skutecznie odciągnęła uwagę mnichów od dwóch kolejnych list, które były kluczowe dla jego fortelu i stanowiły podstawę inkwizycji. Drugim z oczekiwań Blasiego było, aby księża składali obciążające zeznania na temat swoich współbraci, wymieniając wszystkie zaobserwowane zachowania, które mogłyby wydawać się „niestosowne” dla mnicha. Po trzecie i ostatnie, Blasi oczekiwał od nich spisania osobistych zeznań o popełnionych wykroczeniach. Poinformował zakonników, że wszystkie pisemne zeznania pozostają poufne.

Oburzeni Starsi Bracia nie mogli zrobić nic więcej, jak tylko się podporządkować. Ćwiczenie Blasiego jednak

Choć mogło się to wydawać surowe, okazało się niezwykle skuteczne, gdyż – podobnie jak oczekiwane rezultaty młocarni – oddzielało ziarno od plew – dobre ziarno od złego. Po wyeliminowaniu tych dobrych i uczciwych mnichów, pojawiło się tylko siedmiu księży o wątpliwym postępowaniu. Spośród nich Blasi skreślił z listy brata Odyna – nie chciał, by ktoś, kogo uważał za „otyłego pijaka”, uczestnicząc w otwarciu Kamienia Bramnego. Blasi skreślił również nazwisko Włocha, ponieważ chciał, aby tylko Francuzi uczestniczyli w, jak się zorientował, francuskiej sprawie. Pozostało zatem tylko pięciu mnichów.

Blasi, jeden po drugim i w cztery oczy, wezwał pięciu mnichów do gabinetu opata . Każdemu z nich powtórzył tę samą historię: że podlega wspólnym rozkazom papieża Klemensa Apostolskiego i króla Filipa I, króla Francji, aby użyć Kamienia Bramnego jako broni przeciwko Anglikom . Na koniec zapytał każdego mnicha, czy zechciałby pomóc mu w wypędzeniu Anglików z Crecy.

Spośród pięciu mnichów z listy, Clodius i Greville zgodzili się pomóc Blasiemu przy Kamiennym Wrótniku, wyraźnie jednak sugerowali przeniesienie obowiązków jako odpowiednią rekompensatę – jako potencjalnych nadzorców katakumb opactwa. Pragnęli stanowisk Iwana i Odina. Blasi zgodził się na ich przeniesienie dopiero po tym, jak pomogli mu przy Kamiennym Wrótniku. Z trzech pozostałych mnichów, Friar Grate nie był tak chętny do pomocy; jednakże Blasi, szturchnięciem i groźbą z przymrużonymi oczami, szybko go przekonał. Pozostali dwaj mnisi otwarcie odmówili pomocy Blasiemu i ostrzegli go przed prawdopodobnymi, tragicznymi konsekwencjami naruszenia Kamiennego Wrótnika. Blasi wyraził rozczarowanie ich niezłomną niechęcią i wyprosił ich z gabinetu – tylko po to, by dyskretnie skinąć głową kapitanowi Bourne'owi, który stał tuż za otwartymi drzwiami. W rezultacie Bourne odprowadził dwóch mnichów na wieś, aby odpocząć. Opat Vonig, z ustami na stałe zaklejonymi ziemią.

Blasi był zdumiony, że udało mu się dokonać czegoś pozornie niemożliwego. Poświęcając zaledwie trzy życia, zdobył kontrolę nad opactwem Gardiens i jego strzeżonym Kamieniem Bramnym, a także zapewnił sobie pomoc trzech starszych zakonników, cały czas zachowując swoje zamiary w tajemnicy.

W kolejnych dniach Blasi zamknął się w gabinecie opata , studiując długo strzeżone manuskrypty opactwa, podarte strony, które wyjął z archiwów apokryfów , i schemat katedry opactwa . Choć pochłonięty ważniejszą misją, jaką było wygnanie Anglików z Francji, Blasi dopilnował, aby rezydenci mnisi i giermkowie kontynuowali swoje zwyczaje, nawet gdy dostosowywali się do coraz bardziej zacieśnionej twierdzy Bourne'a –

jak atmosfera.

~\*~

Mnich o skórzanej twarzy stał pogrążony w cichej medytacji za stajniami opactwa. Wieloletnie dogłądanie stajni nadało mu stwardniały wygląd. Gdyby nie kapłańska szata, mógłby wyglądać jak zwykły rolnik. Niewiele zostało z jego rzadkich, brązowych włosów, a czubek głowy pokrywały brązowe plamy, świadczące o licznych, upalnych latach spędzonych na świeżym powietrzu. Brat Festoneau był starszym mnichem i członkiem Rady Niższej. Stajnie i rumaki podlegały jego opiece, podobnie jak klerycy opactwa, którzy regularnie roznosili pocztę między opactwem Gardiens a punktem wymiany poczty w Orleanie.

Z kowalskimi dłońmi na wąskich, okrytych szatą biodrach, Festoneau obserwował, jak niksące, mdłe słońce znika za ostrą, ciemną linią horyzontu. Nad głowami gasnące promienie dziennego światła skąpały wysokie, rozległe chmury w kolorowych barwach, które razem zdawały się migotać niczym niebiański ogień. W chłodnym powietrzu zmierzchu ciszę przerwał tętent wierzchowca. Festoneau opuścił ramiona, prychnął i szybkim krokiem podszedł do stajni – spodziewał się dostawy poczty na kilka godzin przed zapadnięciem zmroku.

Gdy ksiądz skręcił za róg budynku, zobaczył postać w szacie z latarnią na wysoko, zbliżając się do stajni od północnej bramy opactwa. Zbliżając się do Festoneau, sylwetka zawołała: „Co zatrzymuje przesyłkę pocztową?” Festoneau odpowiedział własnym pytaniem: „Widziałeś mojego posłańca?” „Rzeczywiście – jakiś czas temu – przy bramie frontowej z Bratem Gratem i chłopcem Miguałem. Zebrałem żeby już był w stajni.”

Festoneau dostrzegł cień niedaleko wejścia do opactwa, który szybko się zmniejszył przy odgłosie galopujących kopyt.

„Żołnierze są wszędzie” – poskarżył się mroczny mnich, opuszczając latarnię. Zatrzymał się obok Festoneau i zwrócił się ku nadchodzącemu młodemu duchownemu. „Trzymali mnie przy bramie przez bardzo długi czas. Mówię to teraz, Festoneau – kryje się za tym coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. Któremu opactwu potrzebna jest armia, by rządzić swoimi dobrymi intencjami?” Festoneau oparł ręce na biodrach i rzucił przymrużone oko na pędzącego giermka.

Posłaniec zatrzymał konia. Festoneau chwycił go za uzdę, gdy ogolony na tyso młodzieniec zsiadł. „Teraz muszę zająć się moim koniem po ciemku! Natychmiast wytłumacz się ze swojego spóźnienia!” – zbeształ go Festoneau.

Dziedzic skłonił się i wyznał: „Wybacz mi, bracie. Zaopiekuję się rumakiem, bracie,

Jeśli sobie tego życzysz. Zostawiłem worek z pocztą przy bramie. Musiałem go poszukać. „Przez pół dnia?” – zapytał Festoneau, prowadząc konia do stajni. Potem zatrzymał się i odwrócił. „Czemu się do mnie skarży? Znów ją ostro ujeżdżałeś, chłopcze?” Poślaniec ponownie się skłonił. „Wybacz mi, bracie. Doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli dotrę przed zmrokiem – jak można się spodziewać. Wyjechałem z Orleanu późnym popołudniem, bo poślaniec z Awinionu również przybył późno. Mimo to napoiłem konia przy bramie. A w Orleanie karmiono ją tylko skromnie.”

„Rozumiem”. Festoneau uderzył lejcami konia o słupek. Drugi mnich uniósł latarnię, żeby lepiej oświetlić drogę. Festoneau kontynuował: „Jeśli chodzi o twoje spóźnienie, spodziewam się, że... Proszę o zgłoszenie się do mnie o świcie. Konieczne jest gruntowne sprzątnięcie stajni.

„Tak zrobię, bracie.”

Festoneau sprawdził zawiązane lejce lekkim szarpnięciem i poklepał konia po boku. Następnie poluzował paski skórzanej sakiewki i zsunął ją z konia, po czym rzucił torbę drugiemu mnichowi. „Oto twoja pocztą; pożycz mi latarnię”. Zamienili się. Festoneau odwrócił się i podniósł latarnię w stronę wysokiego słupa.

„Czy będziesz ode mnie czegoś jeszcze żądał, bracie?” – zapytał poślaniec.

„Tak” – odpowiedział ksiądz, wytężając siły i zajmując się latarnią.

„Mam to!” – poskarżył się drugi mnich. „Co robisz? Zaczekaj!”

Festoneau odwrócił się i zobaczył żołnierza zarzucającego torbę na ramię i wychodzącego ze stajni z torbą, po czym odparł: „Moje rozkazy nie dotyczą ciebie, kapłanie – to tylko korespondencja pocztowa”.

Festoneau i jego giermek obserwowali, jak mnich wybiegał ze stajni i wołał za żołnierzem, „Od kogo rozkaz? Przynieś to z powrotem! Czekaj!”

Festoneau przywołał pośląńca skinieniem ręki. Uniósł kopyta. swojego wierzchowca, badając zdrowie każdego z nich i szepcząc do giermka: „Posłuchaj mnie uważnie. Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie. Oczekuję, że schowasz się dziś wieczorem w stajni – na strychu, na górze. Nie ujawniaj się strażnikom. Wyruszysz do Awinionu przed świtem”.

„Rzeczywiście, bracie.”

„Masz dostarczyć Jego Świątobliwości bardzo ważny list, który wymaga jego natychmiastowej odpowiedzi. Za wszelką cenę musisz pozostać w jego biurze, dopóki go nie przeczyta. Zrób wszystko, co konieczne, ale zajmij przed nim swoje miejsce. Czy mnie odbierasz?”

„Tak, bracie, zrobię wszystko, co będzie trzeba, i z należytym szacunkiem”. Młody mężczyzna lekko się skłonił.

„I nie spodziewam się, że wrócisz bez odpowiedzi, czy to pisemnej, czy słownej.”

„Dobrze” – powiedział Festoneau. „Wróć rano i oczekuję, że będziesz gotowy do jazdy jak

wiatr. Tym razem dosiędziesz rumaka opata Voniga.

Posłaniec uśmiechnął się, wiedząc, jaką reputację ma ogier.

„No to idź na górę”. Ksiądz skinął na giermka, dając mu znak, by wszedł do belki, po czym podniósł latarnię i skierował się z powrotem do północnej bramy opactwa.

Noc mijała i prawie wszyscy mnisi i giermkowie w dormitorium opactwa udali się już na spoczynek wigilijny. Jednak w kwaterze Festoneau lampa oliwna oświetlała osobliwe biurko, na którym leżał pergamin zaadresowany do Jego Świątobliwości. Festoneau złożył swój podpis, wsunął pióro do kałamarza i osuszył atrament dmuchawą. Przeczytał list, który szczegółowo opisywał wydarzenia od przybycia Blasiego do Gardiens. Cel listu był jasny: zapytać papieża Klemensa, czy mianował na miejsce opata Voniga kardynała z Awinionu. Wyznał Klemensowi, że obawia się najgorszego: że osoby spoza Rady mogły odkryć istnienie „relikwii”, której strzegło opactwo. Festoneau starannie złożył list. Rozgrzał nóż nad lampą oliwną i odciął róg bloku wosku, po czym zapieczętował list roztopionym woskiem. Wysuszył pieczęć dmuchawą.

Nagle lampa naftowa zamigotała. List w jego dłoniach zadrżał. Zimne powietrze zdawało się wypełniać pokój. Festoneau odwrócił wzrok, by sprawdzić szczelnie zamknięte okno. W nienaturalny sposób spokojnie, kaszlnął i zobaczył niewątpliwą mgłę w swoim oddechu. Kapłan zerwał się z biurka i rozejrzał się, szukając w mrocznych kątach swojej kwatery ... Jej.

Znalazł jednak tylko stojącą sylwetkę w odległym kącie. Odsunął się, by światło lampy naftowej rzuciło na niego światło i odsłoniło mroczną postać. Jego kości topniały; przerażenie go trawiło, niczym rzeka płonącej smoły, która mogła po nim płynąć. Duch kamienia stał przed nim, całkowicie nagi, z błyszczącymi czarnymi oczami, długimi włosami i szczerząc zęby do jego giętkiej duszy. Kapłan znał Ją tak, jak znali Ją wszyscy mnisi z Opactwa: nawiedzającego Demona i rozpustnika od wieków – Panującą Królową Sukkubów i niegodziwe, macierzyńskie źródło wszystkich groteskowych postaci, które ustawiały się wzdłuż tarasów katedry opactwa.

„Nie!” Festoneau wsunął list za plecy.

„Doprawdy, święty mężu. Czyż nie sprawiłem ci tyle przyjemności?” – zaintonował Lucyfael w chórze tysięcy kobiet.

„Błagam cię, pożegnaj się ze mną”.

„Och, ależ nie mogę, dobry panie” – zadrwiła.

„Oddałem się Bogu” – mamrotał Festoneau. Podobnie jak wielu mnichów z opactwa, nawet Festoneau miał na szczycie katedry swój własny, uskrzydłony posąg, umieszczony wiele lat temu.

„Tak to nazywasz? Boże?” – zapytała sarkastycznie, podchodząc.  
„On jest twoim Panem i Królem. Odejdź, Kobieto-Widmo!”

Lucifael zatrzymała się przed nim, założyła ręce za siebie i zapytała raczej niewinnie: „Co z tym liściem, który chcesz przede mną ukryć, Festoneau?” Ksiądz stał jak skamieniały, drżąc. „W imię Boga, opuść Jego świętą ziemię”. Pochyliła się nad nim, jakby była ciekawa ukrytego listu, a Festoneau ją znalazł sam wpatrywał się w Jej pełne piersi zawieszane w świetle lampy.

„Podobają ci się, panie? Podobają ci się?” – zapytała uwodzicielskim szeptem, nie podnosząc wzroku. Festoneau oderwał wzrok. „Idź precz, Diable-Nierządniczo, w imię wszystkiego, co święte i nienaruszalne!”

Wstała i zapytała: „Zniknąć? Pisziesz list, który mnie wzywa, a potem życzysz sobie, żebym odeszła?”. Na jej ustach pojawił się chytry uśmieszek, a list stanął w płomieniach. Gwałtownie cofnął ręce i kartka opadła na podłogę, zamieniając się w kruchy kwadrat popiołu.

„Czy to było aż tak odrażające, czy straszne?” – zapytała, opierając luźno ramiona na jego ramionach. Wyrwał się i pobiegł do drzwi – lecz drzwi się nie otworzyły. Uderzył w nie pięścią i próbował krzyczeć, gdy machnęła palcem z czarnym paznokciem i w gardle zamarło mu gardło. Ponownie załomotał w drzwi, lecz żaden dźwięk nie rozniósł się po pokoju.

„Wiele lat minęło, odkąd ostatni raz skosztowałaś ciała – i mnie. Nawet teraz czuję pieczenie w twoich łędźwiach; jednak uchronię cię przed bólem tęsknoty. Zajmij miejsce na łóżku, ale pamiętaj, że nie będę leżała pod tobą”. Machnęła ręką i przywróciła mu głos.

„Nie zrobię tego!” – warknął, cofając się w kąt między drzwiami a ścianą. Lekko przeszła przez pokój i pomogła mu wyjść z kąta, prowadząc go w stronę łóżka i pocieszając szeptem: „Użycz mi jeszcze raz swojego nasienia, święty mężu. Dopiero wtedy pozwolę ci odejść”.

Festoneau odsunął się, przyciskając plecy do ściany. Lucifael przyparł go do muru między biurkiem a łóżkiem. Nachyliła się do niego. „Wciąż masz w sobie ducha, mój żwawy, święty mężu. A czyż nie jestem godzien w twoich oczach?” Poprawiła zmarszczki na jego szacie i spojrzała na niego. odprawił go z uśmiechem satysfakcji.

„Nie zrobię tego. Nigdy więcej” – powiedział Jej. W wąskiej przestrzeni między ich twarzami Festoneau dotknął swojego czoła i tułowia, tworząc znak krzyża. Lucifael odchylił się do tyłu, a Jej czarne oczy płonęły gniewem. Chwyciła księdza pod brodę. Psie siekacze uformowały się w Jej ustach, gdy mówiła. „Moja cierpliwość się wyczerpuje. Proszę o twoje pozwolenie tylko dlatego, że...

masz ochotę to dać. Nie myl tego z wyborem – to tylko godność, którą daję

Ty."

„Ale dlaczego ciągle je tworzysz? Wszystkie są martwe – wystawione na działanie słońca – zamienione w kamień”.

Zachichotała. „Tysiące umierają, aby tysiące mogły żyć. Taka jest natura Życia i Śmierć. Co ty wiesz o czymkolwiek innym niż pożądanie i poczucie winy?

„Wasze Groteski nie żyją! Wszystkie! To tylko martwe posągi na szczycie katedry!”

Spojrzała mu w oczy. „Dość pustych słów, święty mężu. Pożyczysz mi swoje nasienie, czy nie?”

„Będziesz stał przed sądem...”

Przerwała mu ruchem czarnego paznokcia i znów ukradła mu głos. Z trudem się odwrócił, ale nie mógł się od Niej oderwać.

Spojrzała na niego zmarszczonym czołem, mrużąc ponure spojrzenie. „Jak sobie życzysz. Nigdy nie wymagałam twojej zgody od początku”. Przesunęła palcami po jego twarzy, by sięgnąć głęboko do jego umysłu.

W pewnym momencie kapłan zeszytniał i zadrżał; jego szeroko otwarte, łzawiące oczy mogły jedynie patrzeć, jak drżąca dłoń sięga po poplamione woskiem ostrze leżące na biurku.

„Doprawdy, mój drogi święty mężu” – Lucyfael pograżył się w przerażeniu – „Oddasz mi to, co moje.

Podnieś to; zrób z tego użytek. Jestem twoim wygnanym i błakającym się bogiem, który teraz ci rozkazuje”.

Roześmiała się tak głośno, jak wiele kobiet naraz, a Jej głos pogłębiał się o oktawy z każdym słowem.

„Nigdy nie żyje pies-koczownik Damon God, tak zły, jak...”

Nagle Jej głowa wykrzywiła się z trzaskiem, przekształcając się w rozkładającą się głowę szakala . Wokół

Jej nowego pyska, brakujące fragmenty skóry odsłaniały poszarpane kości. Z Jej głowy buchał stęchły

odór, zatruwając powietrze w pokoju. Potem chwyciła go za ramiona, nachyliła się do jego ucha i wyszeptwała

z westchnieniem: „— tak jak ja”. Festoneau obserwował, jak jego ręka unosi nóż.

Lucifael pogłaskała go po piersi, przechylając jednocześnie głowę jak ciekawski pies, gdy drżące ostrze zbliżało się do kapłana.

„Spoczywaj w pokoju, święty człowieku” – pocieszyła go duszącym odorem zwierzęcego oddechu. „Abym mogła uwolnić cię od palącego bólu Człowieka”.

Knot lampy dopił ostatnie krople oliwy z niemal pustego naczynia, a płomień podskakiwał chaotycznie, jakby trawiony jakimś dzikim ogniem, usiłując rozgromić nieustępliwą i ogarniającą ciemność i utrzymać się przy życiu.

Poza dormitorium opactwa i na całym dziedzińcu żaden żołnierz nie dostrzegł słabej, pulsującej poświaty, która emanowała z wąskiego okna kwatery księdza . Nikt

Zobaczył gasnącą poświatę i coraz ciemniejszą komnatę. Żaden mnich nie zbudził się ze spokojnego snu. Czas mijał, a noc powoli ustępowała.

~\*~

Przed świtem w dormitorium rozległ się żałosny wrzask, a rosnąca grupa żołnierzy i zaspanych mnichów ruszyła korytarzem w stronę kwatery Festoneau. Wpadli do celi i zastali pokój w nieładzie, z przewróconymi meblami, roztrzaskanymi rzeczami osobistymi i strzępami pergaminu, pokrywającymi podłogę i meble niczym śnieg. To nie setki kawałków pergaminu sprawiły, że mnisi uciekli z pokoju tak szybko, jak do niego weszli. Ani to nie dezorganizacja w pomieszczeniu sprawiła, że oszołomieni żołnierze cofnęli się. To ściany i podłoga były tak dokładnie zbryzgane krwią, że w pomieszczeniu unosił się ostry, żelazny odór.

Przed nimi szlochający Festoneau siedział w najdalszym kącie swojego pokoju, obok przewróconego łóżka i trzymał młotek na kolanach, które okrywała szata, pokryta skrzepłą krwią. Jego martwa druga ręka leżała ukrzyżowana na ramie łóżka, z ostrzem wystającym z opuchniętej dłoni. Kapłan zauważył tłum u drzwi i zerwał się na kolana, wbijając ostrze głębiej w dłoń i łóżko, krzycząc:

Ukrzyżowanie. Pot spływał mu z czoła, a jego szklisty wzrok i białka oczu toczyły się po pokoju niczym niespokojne spojrzenie wściekłego psa. Żołnierze rzucili się, by zatrzymać jego rękę z młotem, a on zmiażdżył twarz jednemu z nich, zanim zdążyli uratować księdza przed nim samym. Przygwożdżony i dyszący Festoneau upadł, a żołnierze uwolnili jego ukrzyżowaną rękę.

Niestety, Festoneau zmarł tego dnia; dopiero po jego śmierci – podczas przygotowań do pogrzebu – kilku jego współbraci odkryło, że używał ostrza nie tylko na swoich ofiarach.

Ręka. Wydawało im się, że w rozwiniętym szaleństwie ksiądz sam się wykastrował; jednak późniejsze, dokładne prywatne przeszukanie jego kwatery nie przyniosło żadnych rezultatów. Po odkryciu tego Blasi nakazał mnichom, którzy dowiedzieli się o samookaleczeniu, pozostać w domu, uciszyć i zeszkrobać szaleństwo Festoneau z podłogi i ścian, zanim zamknie się w więzieniu zmarłego mnicha pokój w dormitorium na czas nieokreślony. I tak oto otulony w tkaninę brat Festoneau stał się kolejnym mieszkańcem wspaniałej i bogato zdobionej krypty katakumbowej, niegdyś zarezerwowanej dla zmarłego opata Voniga; i na szczęście dla Blasiego, ta straszliwa rozrywka skutecznie odwróciła uwagę mnichów od bardziej doniosłego celu, jaki wciąż krył w sobie.

[Koniec rozdziału 5]



Niniejsze dzieło literackie powstało wyłącznie z dedykacją

## Edgar Allan Poe (1809—1849)

— Niech jego dziedzictwo żyje w nas wszystkich —



~[GothicNovel.Org](https://www.gothicnovel.org)~